

Aktor bez teatru nie istnieje...

Wywiad Mirosława G. Majewskiego z Wiktorem Zborowskim specjalnie dla „Gazety Kulturalnej”

Mirosław Majewski: – Dziękując, że zgodził się Pan na ten wywiad, pozwolę sobie na standardowe pytanie – Czym dla Pana jest aktorstwo?

Wiktor Zborowski: – Tym samym, czym dla lekarza medycyna, pisarza pisarstwo, malarza malarstwo. Rzemiosłem, które doprowadzone do perfekcji może stać się sztuką. Pod warunkiem, że jednocześnie zostanie podjęta ogromna praca intelektualna, pozwalająca na odkrycie nowych, nieznanych sobie obszarów działalności i możliwości wykorzystania swojego rzemiosła do eksplorowania ich.

– Jak to jest być Wiktorem Zborowskim?

– O cholera! Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Ja całe życie uciekam. Od gównianej sławy, od beznadziejnych wywiadów, od kretyńskiej pracy (przez co zyskałem sobie u różnych nieudaczników opinię lenia), a jednocześnie siedzę w tym. W gównianej sławie, beznadziejnych wywiadach i kretyńskiej pracy. Strasznie gwałtownie unikam lansu, a jednak ciągle ktoś usiłuje mnie na siłę lansować. Nie chcę być gwiazdą i nie jestem (choć mam na piśmie, że jestem!). Od czasu do czasu uwielbiam mój zawód. Ale częściej go nienawidzę. Brzydzą się nim. I On to wie. I odpłaca mi pięknym za nadobne. A życie? Życie jest zupełnie gdzie indziej. Tam, gdzie są moje Mazury i mój mazurski dom, tam gdzie jest mój golf i moje związane z tym marzenia, tam gdzie są moje ukochane przybłąkane pieski, Szyszka i Ziutek, tam gdzie są moje córki i żona (a co, niech Jej będzie!)

– Z przeprowadzonego przeze mnie mini sondażu, wynika jednoznacznie, że jest Pan spostrzegany jako aktor wnoszący swoją osobą potężną dawkę pozytywnej energii. Czy mógłby Pan to jakoś skomentować?

– To wyłącznie „potęga aktorstwa”. W życiu jestem ponurakiem, malkontentem, naturą przedwczesnie zgorzkniałą, wampirem energetycznym, nudziarzem, awanturnikiem, mendą, pesymistą, krnąbrnym malcem i małym kręta-czem. Ale jednocześnie jestem wielkim adoratorem talentu innych i wyrażam to całym jestestwem bez zbędnego skrępowania i fałszywego wstydu.

– Mając 22 lata zadebiutował Pan w obrazie Romana Wionczka „Padalce”. Proszę nam zdradzić, co czuje 22-latek grający w filmie z doświadczonymi aktorami?

– W owym czasie nie czułem nic. Dopiero później, mając okazję partnerować wspomniałemu artyście, zrozumiałem, że nigdy nie zbliży się do ich wielkości. I nie zbliżyłem się! Co do dziś napęlnia mnie dziwnym uczuciem niedosytu pomieszanym z satysfakcją spełnionego proroctwa.

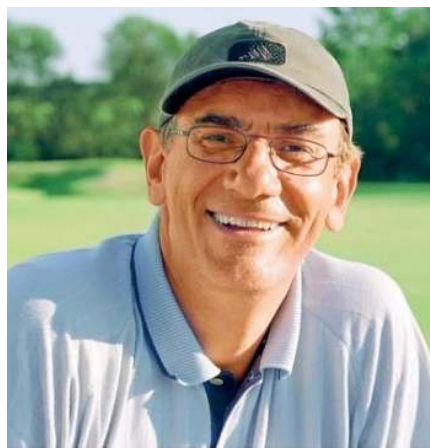
– A teraz z drugiej strony, co czuje doświadczony aktor grający z młodymi aktorami, często amatorami, choćby w jednym z ostat-

nich pańskich filmów Mała matura 1947?

– Też nie za dużo. Obserwuję ich ze współczuciem, pomieszanym z żalem, że wielu utalentowanych nigdy nie zostanie aktorami, a wielu pozbawionych predyspozycji, zostanie.

– Przyznam się, że moją ulubioną postacią jest Moryc Haber z „CK. Dezerterów”. Jaki jest Pański stosunek do tej postaci i tego filmu w ogóle?

– To była moja pierwsza większa rola filmowa i początek wielkiej przyjaźni z Januszem Majewskim i jego żoną, Zosią Nasierowską. Praca nad „C.K. Dezerterami” była niesłychanie intensyw- na, ciężka, a jednocześnie była pasmem fantastycznej zabawy i radości. Środowisko i recenzenci wdęptali film w błoto. Dziś ci sami ludzie umieszczają ten obraz w kanonie klasyki polskiej komedii filmowej. Pamiętam, że dwa lata po premierze, przechodziłem obok kina Ochota (dzisiaj wspomniały Och-Teatr) i przeczytałem, że wyświetlają „C.K. Dezerterów”. Kupiłem bilet i wszedłem na salę. Seans już trwał. Sala wypełniona w trzech czwartych przez młodzież zgodnym chórem recytowała wszystkie kwestie razem z aktorami. To było niesamowite. Kiedy zapaliło się światło, zostałem rozpoznany. Co będę Panu mówił. Wielotysięczny tłum wiwatował na moją cześć do wczesnych godzin porannych.



Wiktor Zborowski

Zdjęcie: <http://www.kobieta.pl/uploads/pics/Zborowski.jpg>

– Jest Pan miłośnikiem golfa. Z pozycji profana sport ten polega na trafieniu piłką do dziurki w ziemi za pomocą kija. Czy mógłby nam Pan wyjaśnić, co takiego jest w golfie i co czyni z faceta golfistą?

– Golf jest grą wymyśloną fenomenalnie. Każdy ma swoją piłeczkę, gra się z partnerem, a nie z przeciwnikiem. Przeciwnikiem jest pole, pogoda, własna słabość, braki techniczne. Gra piekielnie trudna mentalnie i technicznie. Uprawiałem wiele dyscyplin sportowych, w tym jedną na poziomie reprezentacji Polski. Żadna z nich nie stawiała mi takiego oporu, jak golf. To fascynujące spędzanie czasu. Legenda światowego

golfa, Gary Player powiedział, że golf jest dyscypliną trudniejszą od wielu innych razem wziętych. Ludzie zaczynają pić, rozwodzą się, a nawet odchodzą od zmysłów. Mnie udało się nie rozwieść. Prawdziwym golfistą jest ten, kto wykazując wielką pokorę wobec golfa, a także szacunek i uczciwość dla partnera, potrafi cieszyć się tą grą bez względu na uzyskany wynik. Ja jeszcze nie mogę nazwać się prawdziwym golfistą, ponieważ nie umiem cieszyć się z beznadziejnej gry. Ba, dostaję szału w wściekłości, mimo że wiem, że im bardziej szaleję, tym gorzej gram i tym bardziej nie będę się cieszył. Dla porządku podaję mój handicap – 13,0. Jak na nieutalentowanego amatora, całkiem dobry.

– Zagrał Pan w, około sześćdziesięciu przedstawieniach teatralnych, m.in. w sztuce Murraya Shisgala „Bananowy interes”. Czy zgadza się Pan z taką obiegową opinią, że aktora czyni teatr, a telewizja celebrytę?

– Nie wiem dlaczego wspominał Pan akurat tę sztukę Shisgala. W telewizji grałem w wielu fantastycznych realizacjach sztuk teatralnych. Ale i tę wspominam z dużym sentymentem. Aktor bez teatru nie istnieje i to jest oczywiste. Ja zwykle dorzucam jeszcze, że aktora nie ma bez klasyki teatralnej. Dziś telewizja daje wyłącznie popularność. Granie w tasiemcowych produkcjach jest dla aktorów, zwłaszcza młodych, zabójcze. Nie tylko nie rozwijają się, ale wręcz zasklepiają w jednej, często grafomańsko skonstruowanej, postaci. Jeśli młody aktor, zarabiając w serialu, nie ma kontaktu z teatrem, staje się zawodowo nikim. Może być celebrytą, ale dziś to słowo ma znaczenie pejoratywne. Natomiast za moich czasów telewizja kreowała aktora na równi z teatrem i filmem czy najwyższych lotów estradą. Mieliśmy niebawale spektakulum możliwości artystycznych. Teatr Poniedziałkowy, Teatr Sensacji „Kobra”, Teatr Młodzieżowy i Dziecięcy, Scena Komedii, audycje poetyckie, muzyczne, eksperymentalne, ogromna ilość programów dla dzieci, edukacja, świetnej jakości programy rozrywkowe, od kameralnych kabaretów, po wielkie rewie. A seriale to np. „Wojna domowa”, „Polskie drogi”, „Czterej pancerni”, „Noce i dnie”, „Stawka większa niż życie”, „Janosik”, „Zmiennicy” itp. itd. Telewizja stwarzała młodzieży aktorskiej fenomenalną szansę nauki przez pracę z najwybitniejszymi reżyserami, aktorami, realizatorami wizji, scenografami, kompozytorami. Naprawdę było od kogo się uczyć! Czy da Pan wiara, że jeszcze w 2002 roku telewizja zrealizowała ponad sto widowisk teatralnych, a dziś realizuje się sześć, w porywach do ośmiu rocznie!!! Podobno nie ma oglądalności. No cóż, przez ostatnie 15 lat trwały mozolne wychowywanie widza, którego zainteresowania nie wykracza poza serialowe dialogi o zupie pomidorowej. A te około dwa miliony zainteresowanych wyższą sztuką niech spada na drzewo. Dochodzę do bolesnego wniosku, że dzisiejsze produkcje telewizyjne służą wyłącznie do zapychania dziur między

(Dokończenie na stronie 4)